

Masa

Mama, tata, siostra i pies są masowi. A babcia to wiór. Całkiem dobrze pasują do świata. Rodzinnie się wpasowali, a najbardziej mamona. Nie ma Bogów cudzych poza masą.

I ja.

Nie lubię półek. Są pełne. Wszystko się wylewa. Cały świat zalewa po brzegi tak, że nie może się kręcić. Zalana ziemia przystaje, wypoczywa zmęczona razem z psem. Żółty leży całymi dniami na kanapie i gapi się w miskę. Zbyt przelewa, by mógł się ruszać w bezsensie. Faluje na tłusto. Przelewa się tuszą.

– Widać, że pański – mawia mamona i gładzi go po tłustym brzuchu.

A z półkami jasność. Nienasycona, żądna i bestialska. Chłonna w żądaniach i bestialska w rządach. W nienasyceniu więcej pragnie, a w pragnieniu nieustannie chce.

Tłumnie. Maśnie. Tak właśnie żyjemy. Upychając wypełnione, nie patrząc, że zbywa. Gromadzimy na wieki. Nigdy nie wiadomo, kiedy przyjdzie kres.

– Twarda jestem – mawia mamona, gładząc swój brylant. A potem ucieka, gdy zjawia się kupa. Mamona boi się kupy. Bo jest mała, śmierdząca i płacze.

– Sama kiedyś byłaś kupą – komentuje babcia, ale tu się z nią nie liczy.

– Babcia się skończyła – mawia zwykle ojciec. – Już kiedy się rodziła, była końcem. W głowie ma wiór, a przecież on nawet nie rozumie masy.

Faluje, przelewa się świat w sytości. Z drugiej strony odpowiadają mu kamienie zaszyte w żółdkach. Masa nie zastanawia się nad kamieniami, w codzienności nie myśli o niecodziennym. Żółdki są czarne, a kamienie szare. Nie pasują do siebie. Kamienie nie pasują do człowieka, ryby tak. Ryby widzą to, co jest im akurat wygodne. Jednostronnie, krótkowzrocznie, łatwo.

Niania powiedziała raz, że mamona złowiła grubą rybę, że ma szczęście. Nie wiem, co miała na myśli, bo ja nie mam szczęścia, tylko pięć lat. Pamiętam jednak, że przywieźli wtedy różne gatunki tych ryb, to była pewnie jedna, najpiękniejsza z nich. Łosoś. Karp. Sum. Szczęście.

Ojciec zawsze, gdy akurat jest, to je, niekoniecznie ryby. Ale nie ma go zbyt wiele. Ma lepsze rzeczy do roboty, niż się domówić. Odkryłam, że nie lubi lawendowej nuty mamony. Drażni go i warczy wtedy jak piła. Piłuje jej lawendę. Ogranicza rozbiegane kłacza, a wystarczy przecież zmamonować. To na nią skutkuje.

– Takie dobre dziecko – mawia niania – ale zniszczy cię ta mamona jak ich. Sfałduje, zmasuje, a potem wypłuje na bruk. Samą, trudną, oblepioną warstwą celulozy. Śluz zgęstnieje i przestoni inność. Tylko śluz się będzie liczył, tylko masa. Kasując życie, będzie stono. Na tę stoność nie pomoże liczba, nie pomoże papier. Pozostanie sytość z nadsiadania.

Ojciec ma mamonę, ale kocha swoją sekretarkę. Mamona kocha masę i brylanty. Babcia kocha swój wiór. Moja siostra kocha nianię, a niania mamonę. Okrąg, a marzenie to ja. Utuda, że będzie.

Dwa razy w tygodniu gram na pianinie. Ojciec mówi: dama! Dźwięki są eleganckie i wypadają. Bez nich nie ma co pokazywać się w towarzystwie. Nie można wypadać bez znajomości nut. Jak złoty: Aport. Głos. Siad. Graj. Znikaj.

Dwa razy idziemy z mamoną na półki, stojaki, wieszaki i manekiny. Wszystko zatrzaśnięte w masie. Nie umiem odnaleźć siebie w jasności, ale ona mówi, że to przyjdzie z czasem. Dorosnę i nauczę się łowić. Złowię kogoś na pończoszkę, buciki i udo. Niewinność nadaje się tylko na wędkę, na przynętę potrzebna jest pierś. Jak się postaram, to może uda mi się złowić szczęście. Mamona mówi, żeby iść w jakość, a nie w ilość. Ilość odnajdziesz w masie. Wetkniesz ją między oczy wszystkim zazdrośnikom. Ale ja nie chcę nic nikomu wtykać. Złowię szczęście i powieszę nad łóżkiem, tyle tylko chcę z tej masy.

Dwa razy siedzę z nianią. Pitagorasujemy, Diogenesujemy, dogujemy i badamy grunt. Niania twierdzi, że i tak skończę w mamonie, dlatego ona piłuje, a ja się pochylam. Gdy podnoszę głowę, jej paznokcie zmieniają kolor. Moje cały czas są bezbarwne. Czasem posmakuję za to Diogenesa. Jest smaczny, ale myślę, że jak babci, nie spodobałaby mu się masa.

Dwa razy w tygodniu siedzę z nią w pokoju. Za każdym razem próbuje zaszczepić we mnie wiór. Zasadzić, wykielkować młodą siebie.

– Nie chcę umierać. Muszę zazielenić się w twym sercu – mówi – tam, gdzie zielono, nie ma masy.

Może i mądre, ale zbyt wiele. Z rodziców przelewa się masa, z niej wióry. I wszyscy chcą zalać sobą, ile tylko mogą. Zawłaszczyć, jakby mało im było własnego życia.

Czasem wychodzę ze złotym, a on zahacza zadem o ziemię. Falując, zrywa murawę. Przelewa się i nie ma dość siły, by dźwigać własny ciężar. A dzieci biegają z kamieniami. W żółdku kamień wcale nie cięży. Pozwala biec. Uciekać. Gdyby nie kamień, same stałyby się kamieniami w cudzych żółdkach. Zad złotego leży na trawie, sika dużym strumieniem. Ciągnę go, ale nie chce wstać. Patrzy w dal na dzieci i ich kamienie, oczami niewierzącymi, niesprawiedliwymi. Złoty widzi więcej niż mamona i ryby, ale widząc, biernieje i z rozpacz popada w tłuszcz.

– Ona dostrzega tylko czubek własnego nosa – mawia niania, a ja martwię się, że kiedyś też dziedzicznie osłepnę.

– Po ojcu masz dziedziczyć, chyba że omami go ta wywłoka – komentuje mamona.

Wywłoka często jest w kłótni. W trzaskaniu drzwi, w kawałkach chińskiej porcelany. Wybrzuszona pomiędzy mamoną i ojcem. Nie daje im się zająć, choć są już przecież zaślubieni. W sumie go rozumiem. Zęby mamony nie są już pierwszej świeżości.

– Nie ma tu kochania – często biadoli babcia – tylko miłość do mamony. Mamona rządzi, dyktuje warunki. A dyktatura mamony pozwala na masę, ludzie marzą, by jej ulec. A tak się oporowali przeciw śpętaniu. Teraz sami podkładają łby, by się zmamonować, ślepo kochają. Wyśmiewają puste czasy. Jasne pełne półki tłumnie drwią. Wdeptują niedostatek. Tylko kamienie drżą na widok pustki. Pobrzękują cicho, a żołądki kurczą się. Kamienie pamiętają pustkę. Są pustką. W przepychu ciężko zrozumieć niedostatek, ale mój wiór wie. Wie, że wszystko wróci. A krwawość mamony prześcignie krwawość pustych czasów. W pustce nie ma środków, a masa nie cofnie się przed niczym.

Moja siostra leży jeszcze u początku. Na razie zagarnięta przez mamonę – w ramionach niani, po drugiej stronie babci. Tak naprawdę nie zna jeszcze masy, wióra ani całej reszty. Zazdroszcząc jej, wiem, że i na nią przyjdzie kres. W jej kresie będzie jeszcze ciężej niż moim. Wszyscy nacisną, żeby wyrównać niepowodzenia we wcześniejszym narzucaniu. Będą żądać, ciągnąć, chwytąć. Każdy w stronę swojej racji, własnej prawdy. Tu nie ma miejsca na wolność, należy poznać cudze i przyjąć jak swoje, wierząc słowom. Dać się narzucić.

– W czasach masy i niestabilności trzeba tkwić beczynnym w kresie – mawia ojciec.
– Nie wychylać się i po cichu gromadzić.

– Ilość, ilość – wtóruje mamona. – W ciężkich czasach tylko ona zwycięży.

– Ta ilość kiedyś ci zaleje – syczy wtedy niania zazdrośnie, zerkając na brylant.

Niania wypiera się masy, leży bliżej kamieni, a jednak do nich też się wcale nie przyznaje. Nie chce skończyć jak kamień i właśnie to pcha ją panicznie w ramiona masy. Gardzi na pokaz, by unikać porównań z szarością, a błysk w jej oczach obsesyjnie lśni mamoną. Pod obojętnością i wyobcowaniem ukrywa pożądanie i strach. Chciałaby złowić grubą rybę, a tymczasem trafiła jej się szprotka z jasnej półki.

Cała rodzina płakała, gdy zdechł Złoty. Umarł na przesyt.

– To przestroga – zawodziła babcia przykuta do łóżka. – Wszystkich was to czeka, gdy się nie zumiarujecie. Mój wiór powoli odchodzi w niepamięć, nie ma już siły, by wiercić. Masa zyska monopol, wciągnie w swój wir nawet kamienie.

– Zostanie mi teraz gładzić tylko brylant – narzekła mamona, zalewając się łzami. Pańskość Złotego sprawiała, że naprawdę coś go darzyła. Czymś więcej nawet niż ojca. Płakała, aż szorstka mamona otarła jej słone łzy.

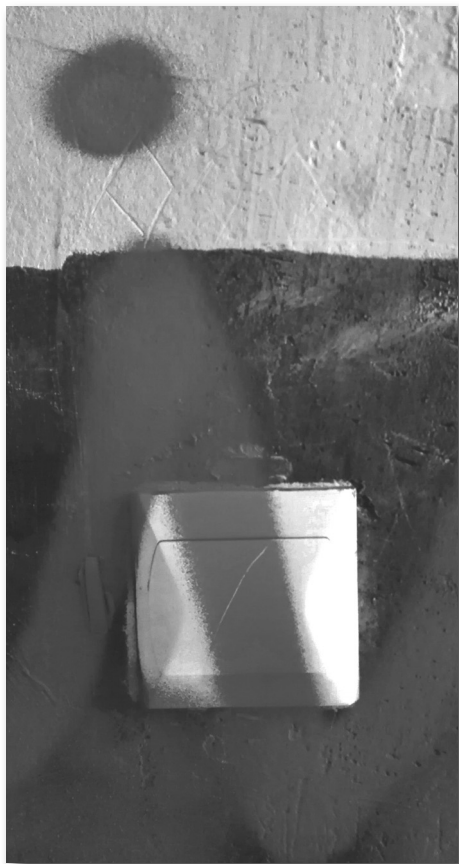
Ojciec narzekał, że stracił swego musztranta. Ukojenie mogła mu przynieść tylko wywłoka, która, jak mamona niesie, zwana była złotoustą. Swym złotem załagodziła niedosyt we władzy, choć nikt ponoć nie działał na: Aport, Siad i Głos tak cudnie jak Złoty.

Niania potrzebowała dwóch głębszych, by zapomnieć o cudownych przymiotach martwego. Lubiła wyprowadzać go na spacer i znikać w falowaniu na długie godziny.

Złoty, zdychając, wydawał się zadowolony. Tłuszcz stopił się, przestał ciążyć. Ostatnie falowanie przyniosło mu ulgę. Umierał bierny, a pod opadającymi powiekami postukiwały cicho kamienie. Widział je, ale nie mógł już nic zrobić. Odchodził, tracąc swój złoty kolor na rzecz szarości. Zdechł i stracił masę – wbrew teorii twardości mamony. W tamtym momencie niczym nie różnił się od kamieni. Był szary, nagi i odmaśniony. Śmierć wyrównuje rachunki, nie pozwala umrzeć inaczej, wszyscy umieramy płasko.

Babcia mówi, że będzie wojna. Wojna kamieni. Ale to nie kamienie się zbuntują, są na to zbyt słabe. Masy zetrą się i pošlą kamienie na zer. To nie będzie trwać długo. Życie jest dla masy kroplą wody w morskiej toni. Niczym.

Masowi są mama, tata, siostra, a pies nie żyje. Babcia ma wiór. A ja na rozstaju.



Mirosław Jurczuk, *Kqt*